

**Krystyna Chojnicka**  
Uniwersytet Jagielloński

**Michał Jaskólski**  
Uniwersytet Jagielloński

## **Kilka uwag na temat pojęcia rozwoju w myśli politycznej i prawnej**

### **I**

Jeśli posługujemy się pojęciem rozwoju myśli politycznej i prawnej, naszym zadaniem powinna być przede wszystkim refleksja dotycząca osadzenia samego terminu „rozwój” w omawianym kontekście. Termin ten kojarzy się najczęściej z jednej strony z rozwojem społecznym, z drugiej zaś z rozwojem jako kategorią przyrodniczą, w tych bowiem naukach używany jest najczęściej. Czemu jednak nie można by było zapytać, jak rozwija się myśl, w tym przypadku myśl polityczna i prawna. Na to właśnie pytanie postaram się nie tyle odpowiedzieć, ile jedynie wyznaczyć pewne tropy, które mogą nas do odpowiedzi przybliżyć.

1. Pojęcie rozwoju zakłada, że mamy do czynienia z pewnym stadium wyjściowym, początkowym, stanowiącym punkt, od którego możemy zacząć obserwować, jakie i w jaki sposób następują przemiany, które możemy określić mianem rozwoju, a następnie ocenić jakimi mechanizmami się one rządzą i czy istnieją reguły owe mechanizmy porządkujące. Mówimy więc o narodzinach pewnej myśli, idei, doktryny. Niekiedy, podążając tym samym tropem skojarzeń, mówi się o twórcy, który jest „ojcem” konkretnego systemu myśli. Czasem moment tych narodzin, jak i „ojcostwo” można określić stosunkowo łatwo, jak na przykład wówczas, gdy powiemy, że ojcem nowożytnej myśli demokratycznej jest Jean Jacques Rousseau, czy – z nieco większymi oporami – że ojcem liberalizmu jest John Locke. Oczywiście są to stwierdzenia znacznie upraszczające rzeczywisty stan rzeczy, niemniej używane często w charakterze skrótu myślowego, który dla laika jest wystarczający, zaś specjaliście podpowie, jakie jest stanowisko mówiącego, lub piszącego dane słowa i pozwoli mu podjąć z nim dyskusję. Czasem jednak sytuacja jest znacznie trudniejsza, a ma to miejsce wówczas, gdy wyznaczenie „początku” jest wręcz niemożliwe, przyjmuje się więc pewien moment umowny. Przykładowo, wszędzie przeczytać można, że doktryny utopijne mają początek w wieku XVI, a konkretnie w roku 1516, kiedy Tomasz Morus opublikował swoją *Książeczkę zaiste złotą i niemniej pożyteczną jak przyjemną o najlepszym ustroju państwa i nieznaney dotąd wyspie Utopii*. Ale jak w takim razie zakwalifikujemy treść dialogów Platona *Timaios*

i *Kritiasz* i zawartą w tych dialogach wizję Atlantydy? Dopiero dwa tysiące lat po ich napisaniu można było określić tę wizję mianem utopijnej. Stało się to tylko dlatego, że Morus nadał nazwę temu gatunkowi pisarstwa. W tej sytuacji mamy do czynienia ze zjawiskiem nienazwanym, chociaż znanym i określonym, a nawet dość łatwym do zdefiniowania. Ale podobna sytuacja daje nam również możliwość dokonywania zabiegów w zakresie poszukiwania początków danej myśli, które nie są powszechnie akceptowane, a przez wielu wręcz określane jako ahistoryczne. Często bowiem dochodzi do ekstrapolacji, i klasyfikowania zjawisk z odległej przeszłości według kategorii współczesnych. Przykłady? *Totalitaryzm* Platona jest tu przykładem najwyrazistszym. Ta popperowska wizja „społeczeństwa zamkniętego”, która została wywiedziona z dialogów Platona i odniesiona wprost do dwudziestowiecznego totalitaryzmu, zdaniem konserwatywnych krytyków jest nie dość, że ahistoryczna, to jeszcze oderwana od założeń etycznych filozofii Platona. Czy jednak nie posiada fundamentalnego znaczenia dla określenia specyfiki europejskiej myśli politycznej w jej historycznym rozwoju?

2. Ustalenie początków danej myśli nie jest jak widać łatwe, trudno tu o jednoznaczność, stąd wyznaczany przez badaczy i komentatorów „początek” bywa najczęściej co najwyżej umowny. Jednak, jak przekonuje przykład Poppera, nie można z niego zrezygnować, tak z uwagi na walory porządkujące, jak i ze względu na przydatność w budowaniu struktur modelowych. W naszym systemie postrzegania historii w jej ujęciu chronologicznym, nieodzowne jest wyznaczanie początków i końców. Wychodząc więc od punktu początkowego, o którym mówiłam wcześniej, kiedy sformułowana została lub/i zyskała odbiorców i komentatorów jakaś doktryna czy myśl, możemy zacząć śledzić dalszy ich rozwój. Najpierw jednak dokonać należy rozstrzygnięcia, czy możliwe jest mówienie o rozwoju myśli politycznej i prawnej w ogóle, w obrębie konkretnej cywilizacji, lub chociażby epoki. Byłaby wówczas mowa o tendencjach rozwojowych myśli europejskiej, lub – w drugim przypadku – o tendencjach rozwojowych myśli renesansu lub oświecenia. Wtedy już w tytule zostanie zawarte istotne rozstrzygnięcie. Dajemy w nim bowiem wyraz przekonaniu, że cywilizacja, czy epoka są pewnym monolitem, że brak w ich obrębie wewnętrznych podziałów i sprzeczności, lub przynajmniej, że nie posiadają one istotnego znaczenia, że rozwój przybiera w nich model linearny, albo co najwyżej dialektyczny, i w końcu, że nie ma wątpliwości dotyczących momentu, od którego możemy mówić o początku danej cywilizacji, czy epoki. Postępując w myśl tych założeń starożytność kończymy wraz upadkiem Rzymu i z tą datą dekretujemy początek średniowiecza. Takie stanowisko, choć już na pierwszy rzut oka budzi zasadnicze wątpliwości, jest jednak powszechnie w literaturze wykorzystywane. Postępując podobnie, nadajemy datę końca średniowiecza i początku nowożytności, wyznaczając go pomiędzy upadkiem Konstantynopola (1453), „odkryciem” Ameryki (1492), a wystąpieniem

Marcina Lutra (1517). Nawet jeśli przyjmujemy te umowne daty, to czy oznacza to, że starożytność, a w naszym przypadku myśl starożytna, przestała się rozwijać w 476 roku? Nieprawda, przestała się rozwijać już dużo wcześniej, albo przynajmniej rozwijała się w konkurencji z myślą chrześcijańską. Wszak systemu św. Augustyna nie można uznać za wynik rozwoju myśli starożytnej, choć daty jego powstania powszechnie zaliczane są w poczet starożytności. I co stało się po upadku Rzymu? Czy zaczęła się, począwszy od tej daty, rozwijać myśl średniowiecza? Nie, nastąpiły „wieki ciemne” i na intensywny rozwój swoistej myśli średniowiecza trzeba było jeszcze długo poczekać. Takie wątpliwości nasuwają się w związku z każdą epoką i stąd zasadnicze pytanie, jak mówić o rozwoju myśli, skoro tak trudno nam wyznaczyć dla niego punkt początkowy.

Podobne zresztą trudności napotykamy, próbując rozpocząć rozważanie kwestii rozwoju wyłącznie w odniesieniu do pewnej szkoły myśli, a więc analizując rozwój myśli socjalistycznej, konserwatywnej itp. Abstrahując od problemu „początku”, zauważmy, że pozostają dalsze wątpliwości; szkołę myśli (nie przesądzając w tym miejscu, co nazywamy szkołą myśli) musielibyśmy potraktować jako całość, aby poddać obserwacji jej rozwój. Ponieważ nie odpowiada to prawdzie, i każda szkoła jest wewnętrznie zróżnicowana, zazwyczaj, najczęściej dla celów dydaktycznych, konstruuje się, tak jak to uczynił Huntington w odniesieniu do konserwatyizmu, pewien kanon enumeratywnie wyliczonych właściwości, które konkretna myśl czy doktryna powinna spełniać, aby być do danej szkoły zaliczoną. Problem w tym, że ów kanon nie uwzględnia właśnie tych zmian, które określamy mianem rozwoju, jako że proponuje statyczny obraz doktryny. Natomiast usiłując nadać obrazowi szkoły myśli dynamikę, napotykamy konieczność dokonania znaczących uogólnień, podobnych zresztą do tych, o których była mowa poprzednio, przy omawianiu cezury pomiędzy myślą starożytności i średniowiecza. Zazwyczaj bowiem rozwija się jakaś część szkoły, jeden z nurtów, najczęściej też o rozwoju decyduje aktywność jednego autora, którego dzieło wyznacza kierunek dla tego rozwoju. Czy jednak jego zasługi możemy przypisać całej szkole? Zapewne tak, ale tylko wówczas, jeżeli owa szkoła pójdzie w ślad za tendencją rozwojową wyznaczoną przez jej prekursora. I tak możemy powiedzieć, że Jeremy Bentham i J. S. Mill wpłynęli na rozwój myśli szkoły liberalnej, gdyż wprowadzili do niej elementy demokracji, upowszechnienia prawa wyborczego i praw kobiet. Możemy jednak mieć do czynienia z sytuacją odmienną, kiedy w stadzie trafi się samotny wilk, myśliciel osobny, który należąc do danej szkoły, nie wpłynie na kierunek jej rozwoju. Nie jest przy tym wykluczone, że jego myśl wpłynie jednak na kierunek rozwoju szkoły, jednak stanie się to po upływie znacznego czasu. Sądzę, że przykładem takiej właśnie sytuacji może być myśl liberalna w ujęciu Alexisa de Tocqueville. Może też pojawić się sytuacja, w której ów oryginalny myśliciel nie tyle nawet nie przyczyni się do rozwoju, ile „rozsadzi” od we-

wnątrz szkoły, za którą się opowie, a jego myśl stanie się zaczynem dla rozwoju zupełnie innej szkoły. Taką sytuację najlepiej ilustruje proabsolutystyczna doktryna Thomasa Hobbesa.

3. Jeżeli rozpatrujemy zagadnienie rozwoju myśli w ramach poglądów konkretnego myśliciela, natrafiamy kolejne problemy. Przyjrzyjmy się następującym przykładom: Platon, jako autor *Państwa* i autor „Praw”; „młody” i „stary” Karol Marks; św. Augustyn, manichejczyk i doktor Kościoła, Edmund Burke jako liberał i jako konserwatysta. Biorąc pod uwagę te przykłady, widzimy, że nie można w ich przypadku mówić o jakimś określonym kierunku zmian, jakie zaszły w poglądach tych myślicieli, a które moglibyśmy określić mianem rozwoju. W podanych wyżej przykładach właściwsze byłyby określenia kładące raczej nacisk na przełom w myśli, na jej przewartościowanie i w rezultacie zmianę poglądów, autorefleksję wiodącą do autokorekty, rozczarowanie nawet, ale w każdym razie nie rozwój. Ten bowiem zakłada niewątpliwie pewną ciągłość procesu. Procesu posiadającego zdecydowany kierunek. Tylko jaki?

Nasuwa się w tym miejscu kolejne pytanie, czy mówiąc o rozwoju możemy identyfikować go z postępem? Czy, mówiąc wprost, rozwój myśli musi być zawsze „do przodu”, mieć charakter jednoznacznie progresywny. Zachodzi wątpliwość, czy gdyby tak było, moglibyśmy mówić o rozwoju doktryn, które w założeniu swoim są z zasady nie postępowe i zakładają raczej położenie nacisku na trwanie, niezmienność, tradycję. Postęp myśli konserwatywnej – sformułowanie takie brzmi co najmniej dziwacznie i w zasadzie jest oksymoronem. Możliwe jest natomiast mówienie o rozwoju myśli konserwatywnej, lecz natychmiast rodzą się pytania – o jakim rozwoju jest mowa. Kolejne pytanie dotyczy myślicieli, którzy w wyniku ewolucji myśli zaczęli głosić poglądy znacznie bardziej konserwatywne, tradycjonalistyczne, prawicowe, lub reakcyjne, aniżeli poprzednio. Poglądy Edmunda Burka, pierwotnie liberalne, a następnie konserwatywne, uległy niewątpliwiej zmianie, ale czy możemy powiedzieć, że dokonało się to w procesie rozwoju? Jeszcze wyrazistszy przykład: rosyjscy „legalni marksiści”, którzy stali się następnie twórcami „rosyjskiego renesansu duchowego” i dla następnych pokoleń symbolizowali rosyjski tradycjonalizm zbliżony do prawosławnej ortodoksji. Nie tylko nie można powiedzieć, że dokonał się postęp w ich myśli, lecz nie można powiedzieć również, że uczynili to w procesie rozwoju ich pierwotnych, socjalistycznych przekonań.

W historii doktryn politycznych i prawnych dość łatwo można spotkać się z klasyfikacją konkretnych doktryn ze względu na kryterium postępu. Postęp danej myśli uznaje się za dokonany, jeżeli zaproponowany w niej został skok modernizacyjny. W istocie polegać on ma na dostosowaniu założeń myśli politycznej i prawnej do rzeczywistości społecznej, w której żyje jej twórca, z tym, że najczęściej ocena ta dokonywana jest *ex post*. W ten sposób Arystoteles jest bardziej „postępowy” niż Platon, św. Tomasz niż

św. Augustyn, a John Stuart Mill według tego kryterium stoi wyżej od Johna Locke'a. No i oczywiście, pomiędzy tymi autorami miał się jakoby dokonać proces rozwoju myśli: starożytnej, chrześcijańskiej, liberalnej. Nie trzeba podkreślać, że jest to ocena dokonywana w oparciu o kolejne kryterium umowne, które w najmniejszym stopniu nie spełnia warunków, jakie stawiane są przed kryteriami badawczymi. Niemniej jednak spotykamy się z nim często, szczególnie w ujęciach właściwych dla komentatorów wywodzących się z lewicy. Należy zająć się w tym miejscu niełatwym rozgraniczeniem pojęć „postęp” i „rozwój” z uwagi na częste wymienne używanie tych pojęć. Wydaje się, że zasadnicza różnica polega na tym, że ocena postępu danej myśli jest wynikiem przyjęcia przez oceniającego apriorycznych założeń dotyczących prawidłowości nieodwracalnych procesów, według których rozwija się rzeczywistość, przynajmniej w obrębie konkretnego etapu historii. Decyduje więc zgodność kierunku rozwoju doktryny ze wstępnym założeniem poczynionym przez oceniającego. Odwrotnie, konotacje związane ze słowem rozwój zdają się sugerować, że jest to proces rządzący się własnymi prawami. Można by więc było zaproponować definiowanie pojęcia „rozwój” jako „naturalnego”, czy też „ewolucyjnego”, a nawet „organicznego”. O ile bowiem określiłam postęp, jako kategorię myśli politycznej, eksponującą w nim kryterium realizacji założonego *a priori* planu zamierzonych przeobrażeń (choćby nawet uznawanych przez komentatora za obiektywne), o tyle rozwój wydaje się być procesem immanentnym, dokonującym się bez zewnętrznego planu i przebiegającym spontanicznie. Istotne jest również podkreślenie, że o ile postęp dokonuje się tylko w jednym kierunku, wyznaczonym przez zewnętrzne determinanty (a jeśli myśl im się nie podporządkuje, to arbitralnie bywa określana jako dowód regresu), o tyle rozwój odbywać się może wielokierunkowo, a kierunek ten wyznacza w znacznej części raczej wewnętrzna logika myśli. Postęp myśli podąża za rzeczywistością społeczną i polityczną, rozwój ma szansę ją wyprzedzać i kształtować, będąc czułym wskaźnikiem zapowiadających się dopiero w społeczeństwie zmian.

Logicznie więc postęp od rozwoju tym się różni, że ten pierwszy jest nacechowany ideologicznie i jest pojęciem wartościującym, wywołującym pozytywne, lub negatywne komentarze, natomiast rozwój jest pozbawiony tego elementu ocennego. Kolejną różnicą jest powiązany z poprzednimi uwagami fakt, że postęp jako element konkretnej doktryny generalnie oceniany jest przez komentatorów doktryny pozytywnie, lub negatywnie, a ocena ta formułowana jest co do samej zasady, zaś wszystko, co postęp spowalnia, lub zakłóca ma znaczenie incydentalne. Natomiast uznaje się, że rozwój może zostać zakłócony, spowolniony, zahamowany, jak każdy organiczny proces wzrostu, a więc, że narażony jest na te wszelkie negatywne okoliczności, pochodzące zarówno ze źródeł zewnętrznych, jak i wewnętrznych, jakie zwykliśmy przypisywać procesom organicznym.

Od *Gemeinschaft* i *Gesellschaft* Ferdynanda Tönniesa, po współczesne ostrzeżenia przed „kryzysem wzrostu”, mamy do czynienia nie tyle z krytyką, bo trudno krytykować procesy zachodzące organicznie, ile z ostrzeżeniami dotyczącymi patologii rozwoju. W związku z dominującymi współcześnie, szczególnie w socjologii, krytycznymi opiniami w stosunku do tzw. progresywizmu i towarzyszącymi im postulatami zrezygnowania z tego kryterium w naukach społecznych w zupełności, rozgraniczenie pojęć postęp i rozwój wydaje się szczególnie istotne. Nie ma bowiem powodu, by kryterium rozwoju podzieliło los postępu, jedynie z uwagi na pozorną bliskość tych dwóch pojęć.

Skoro więc nie dokonamy rozróżnienia pojęć rozwoju i postępu, musimy się postarać o odrębne określenie cech charakterystycznych dla pojęcia rozwoju, zmierzając do skonstruowania jego definicji. Zamiast identyfikowania rozwoju z postępowaniem możemy zaproponować jego zdefiniowanie jako procesu kompleksyfikacji (czyli zwiększania się stopnia złożoności), zakładającego proces dochodzenia do dojrzałości, rozumianej jako ostateczne stadium rozwoju myśli, zupełne, dopracowane, po którym nie powstałyby już dalsze, bardziej złożone i kompleksowe formy danej doktryny.

4. Oczywiście, najbliższe historii myśli politycznej prawnej rozważania nad zagadnieniami dotyczącymi rozwoju prowadzą socjologowie. Jednak proponuję sięgnąć do pojęć właściwych dyscyplinie nauki z jednej strony odległej od humanistyki, z drugiej zaś takiej, dla której pojęcie rozwoju jest jednym z podstawowych. Spróbujemy sięgnąć do analogii z pojęciem rozwoju, jakie spotykamy w naukach przyrodniczych, z tym zastrzeżeniem, że pojęcia właściwe dla tej nauki potraktowane zostaną w moim opracowaniu oczywiście w sposób dyletancki. Jako rozwój określany jest w tych naukach, a konkretnie w biologii, najczęściej proces, który uzupełniany jest przymiotnikiem „prosty”. Cechą zasadniczą tego procesu jest dojrzwienie, przechodzenie ze stanu młodocianego do dojrzałego. Jednak w ten sposób powtórnie pojawia się nieuchronnie skojarzenie z postępowaniem; forma dojrzała stanowi wszak „postęp” w stosunku do niedojrzałej, posiada więcej funkcji do zrealizowania i (w przypadku organizmów wyższych) dysponuje znacznie większą świadomością i samoświadomością. W biologii występuje jednak nie tylko pojęcie rozwoju prostego, z którego zaadaptowaniem do naszych potrzeb już powyżej mieliśmy kłopoty, lecz i pojęcie rozwoju złożonego, które zakłada przechodzenie w procesie rozwoju przez stadium poczwarki a następnie dokonanie metamorfozy, która zakończyć się ma powstaniem formy dojrzałej. Laikowi wystarczy informacja, że przy stałej tożsamości danego podmiotu, we wczesnym stadium przybiera on postać zgoła odmienną, posiadającą całkowicie różne cechy zewnętrzne, często funkcjonującą w innym, aniżeli formy dojrzałe, środowisku, w którym odmienne czynniki wpływają na jej rozwój. Aby ten model rozwoju przyrodniczego dostosować do myśli politycznej można by zilustrować powyższe założenia przykładami. Z punktu



widzenia Marksa takim „stadium poczwarki” był z pewnością socjalizm utopijny, albo wręcz cała dotychczasowa tradycja filozofii politycznej, w myśl wyznawanego przez niego założenia, że „filozofowie dotąd opisywali świat, nam zależy na tym, aby go zmienić.” Tu analogię można rozwijać. Stadium poczwarki tym się bowiem przede wszystkim różni od formy dojrzałej, że nie posiada funkcji rozrodczych. Czyli zgodnie z założeniami marksistów tylko ich dojrzała, „naukowa” wersja socjalizmu uznana być mogła za „płodną” i wywołać wszechświatowy przewrót ustrojowy, społeczny i ekonomiczny, podczas gdy możliwości takiej nie miały doktryny utopijne. Marks okazuje się myślicielem, z którego można czerpać najwięcej przykładów, jednak postaram się znaleźć jeszcze inne analogie. Czy na przykład rozważania Marsyliusza z Padwy, dotyczące suwerenności ludu można także uznać za „stadium poczwarki” dla nowożytnych koncepcji polityczno-prawnych? Czy teorie parlamentaryzmu polskiego, lub szerzej, przedstawicielstwa stanowego, odgrywały taką funkcję w odniesieniu do rozwoju dojrzałych form reprezentacji?

Do inspiracji naukami przyrodniczymi możemy sięgnąć również nawiązując do kategorii „wspólnego przodka”, od którego rozpoczyna się rozwój odmiennych form istnienia. W biologii pojęcie: wspólny przodek oznacza, że poszczególne formy, choć różne, cechuje paralelizm ewolucyjny. Nie wnikając w skomplikowane zagadnienia związane ze znaczeniem dla rozwoju paralelnego czynników środowiskowych, możemy przyjąć przydatność tego pojęcia dla potrzeb historii doktryn politycznych i prawnych. Przykładem może być rozwój doktryn lewicowych wywodzących się od „wspólnego przodka”, którym był system stworzony przez Karola Marksa. Doktryny te w wyniku procesu rozwojowego, w którym możemy się łatwo dopatrzeć wpływu „czynników środowiskowych”, z jednej strony ewoluowały w kierunku radzieckiego totalitaryzmu, z drugiej zaś zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji. Pojęciem pokrewnym do koncepcji wspólnego przodka, bliższym jednak instrumentarium historii myśli politycznej i prawnej, jest konwergencja, termin bardzo istotny również dla nauk przyrodniczych. Skądinąd inspirację w tym przypadku można czerpać również z innych nauk. Konwergencja bowiem występuje i w teorii nauk medycznych i w ekonomicznych, w europeistyce w rozważaniach nad polityką spójności UE, a nawet w meteorologii. Pozostając jednak przy analogii z naukami przyrodniczymi, mianem konwergencji określamy zjawisko upodobniania się organizmów odległe ze sobą spokrewnionych, zachodzące w wyniku wykształcania się w nich podobnych cech funkcjonalnych lub morfologicznych. Modna przed kilkadziesiąt laty teoria konwergencji, głosząca upodabnianie się w procesie rozwojowym państwa o ustroju kapitalistycznym i socjalistycznym, została jak wiemy ostatecznie sfalsyfikowana w toku historii. To jednak nie stoi na przeszkodzie, aby podobieństw doszukiwać się, sięgając do innych przykładów w historii

myśli. Czy na przykład nie byłoby tematem ciekawym dokonać zestawienia rozwoju parlamentaryzmów: brytyjskiego i polskiego w czasach nowożytnych, lub – tu przykład mi bliski – teorii absolutyzmu monarszego we Francji i Rosji wieku siedemnastego i ewentualne odnalezienie w nich procesów rozwojowych upodabniających te koncepcje do siebie.

Jeszcze kilka pojęć właściwych dla nauk ścisłych mogłoby pobudzić naszą refleksję. Należy do nich alotropia, zjawisko znane nawet laikom, określa się nim bowiem występowanie odmian tej samej substancji, różniących się pomiędzy sobą właściwościami fizycznymi, a także wyglądem, przeznaczeniem, jak również, w efekcie, wartością rynkową. Jako przykład posłużyć może diament i grafit, najbardziej znane odmiany alotropowe węgla, zresztą nie jedyne. Załóżmy więc, że węglem jest określona idea, doktryna, czy system poglądów, zaś proces rozwoju w konkretnych warunkach doprowadził ją (po długim czasie) do przyjęcia postaci diamentu. Znalezienie tu odpowiednika w rozwoju myśli nie jest łatwe, a to właśnie z obawy przed nadmiarem łatwych skojarzeń. Spróbujmy jednak z tej perspektywy spojrzeć na przykład na demokrację. Obecna w myśli starożytnej Grecji, formę grafitu, a więc odmiany węgla, którą popularnie kojarzymy z pisaniem, osiągnęła za czasów Jana Jakuba Rousseau, kiedy to została sformułowana w formie traktatów ujmujących ideę demokracji teoretycznie. Prowadzi nas to do wniosku, że dzisiejszy model demokracji europejskiej określić można jako formę diamentu, ale twierdzenie to da się obronić, jeśli nie będziemy mówić o wątpliwej przecież doskonałości współczesnej demokracji, lecz odniesiemy się do powszechnego przekonania, uznającego demokrację za wzorcową formę ustrojową, najlepszą z możliwych i równie powszechnego dokonywania oceny reżimów panujących w poszczególnych państwach w odniesieniu do stopnia ich „demokratyzacji”. Pozostają jeszcze bardzo ciekawe kategorie polimorfizmu i izomorfizmu, których zilustrowanie pozwałam sobie jednak pozostawić dociekliwości innych autorów.

5. Skoro mówimy o rozwoju, w jakiegokolwiek zresztą dziedzinie, proste skojarzenie podpowiada nam, że jeżeli można mówić o rozwinięciu, możemy również o „zwinieniu” w odniesieniu do tej samej grupy zjawisk. Często w historii doktryn politycznych i prawnych używa się w tym przypadku określenia bardziej drastycznego. Mówimy i piszemy bowiem o „obumieraniu” jakiejś idei, czy myśli. Ale sytuacja nie zawsze przedstawia się tak prosto. „Obumieranie”, wbrew samej nazwie, w myśli politycznej nie jest koniecznie procesem ostatecznym i nieodwracalnym. Towarzyszyć mu może i w rzeczywistości często towarzyszy proces odwrotny, czyli „odradzanie się” jakiejś myśli. W tej sytuacji mamy, na przykład, faszyzm i neofaszyzm. Ale sytuacja nie zawsze jest tak prosta. Zawsze należy brać pod uwagę, że nigdy „odrodzona” forma nie jest identyczna z pierwotną. Czy więc stanowi stadium rozwoju owej pierwotnej formy, czy



jedynie pewną wariację na jej temat? Ponadto, mając świadomość, że nieustannie poruszamy się w kręgu opinii subiektywnych, możemy zaobserwować sytuację, w której tylko część zwolenników danej myśli sądzi, że wyczerpała ona już wszelkie możliwości rozwoju i dekretuje jej obumarcie, podpisując się pod nową koncepcją, pokrewną względem poprzedniej, ale jednak odmienną. Inny odłam twórców i wyznawców owej doktryny kontynuuje natomiast pracę i zainteresowanie tradycyjną formą, nazywając jej rozwojem to, co dla innych jest już tylko eklektyzmem. W tej sytuacji funkcjonować mogą jednocześnie i co więcej, rozwijać się, w sensie tworzenia wciąż nowych dzieł i prowadzenia wciąż nowych polemik, dwie lub więcej wersji myśli. I tak mamy w tym samym czasie funkcjonujących konserwatystów i neokonserwatystów, a nawet komunitarian, mamy liberałów i neoliberalów, a w tym samym czasie również libertarian. I to wszystko, nie biorąc pod uwagę pomniejszych odłamów myśli. Czasem zaś mamy do czynienia z sytuacją, kiedy „obumieranie” i „odradzanie” myśli dzieli odstęp wieków, wystarczy przywołać przykład renesansu myśli Arystotelesa u schyłku średniowiecza, jak również – tu przykład mniej wyrazisty – dziewiętnastowieczny neotomizm papieskiego nauczania społecznego. W dziedzinie myśli politycznej i prawnej odchodzenia i powroty mogą powtarzać się wielokrotnie; myśl może odzywać na różnych etapach historii i w różnych organizmach wspólnotowych, można nawet zauważyć prawidłowości w odniesieniu do tych powrotów. Kryzys ekonomiczny powoduje wzrost popularności doktryn socjalnych, kryzys polityczny – konserwatywnych, stabilizacja – liberalnych.

6. Na koniec zauważmy, że zagadnienie rozwoju dotyczyć może również strony biernej, a mianowicie odbiorców doktryn politycznych i prawnych. Chodzi o rozwój w rozumieniu, komentowaniu i recepcji doktryny. Myśl polityczna i prawna powstaje bowiem nie tylko w wyniku przekazania do publicznej wiadomości koncepcji określonych twórców we właściwej im formie traktatu, manifestu, czy na przykład dzieła sztuki. Myśl, która w ten sposób powstała i została zakomunikowana, zaczyna żyć własnym życiem, przybiera nowe formy, a więc możemy mówić, iż się rozwija. Wydaje się to oczywiste, jednak, rozpatrując zagadnienie na konkretnych przykładach, zaczynamy mieć równie konkretne wątpliwości. Czy na przykład możemy użyć słowa „rozwój” w odniesieniu do dalszych losów myśli Karola Darwina, które przybrały formę darwinizmu społecznego, albo czy włoscy faszyci dokonali rozwoju myśli Vilfredo Pareto? Czy Robespierre rozwinął myśl Rousseau? Dochodzimy tu do szeregu istotnych problemów związanych z uproszczeniem, albo też z wulgaryzacją myśli, które wydają się być oczywistym zaprzeczeniem rozwoju.

Można mieć wrażenie, że poszukiwanie podobieństw z naukami przyrodniczymi a nawet z pokrewną nauką humanistyczną – socjologią, daje nam tylko asumpt dla snucia pewnych analogii. Zasadnicza jest jednak różnica, która wynika przecież z istoty

samej materii, stanowiącej przedmiot rozwoju. Myśl z zasady nie ulega przecież ograniczeniom, jakie dotyczą materii przyrodniczej, czy też substancji społecznej. Jeżeli więc rozwój przyrodniczy i społeczny ulega oczywistym ograniczeniom, to kierunki rozwoju myśli, według starej zasady *spiritus flat ubi vult*, przebiegać mogą w nieskończenie wiele i nieskończenie różnych kierunkach. Odmiennie przedstawia się również kwestia czasu, oraz sekwencyjności rozwoju. W naukach przyrodniczych rzecz przedstawia się najprościej, jako że zarówno okresy wymagane dla kolejnych etapów rozwoju, jak i następujące po sobie stadia rozwoju są, pomijając indywidualne wahania, konkretnie określone i w sposób konieczny po sobie następujące. W rozwoju społecznym sprawa przedstawia się w sposób bardziej skomplikowany. Nie popełnimy jednak błędu twierdząc, że każda z teorii rozwoju społecznego, także cykliczna, proponuje konkretne jego stadia, szczególnie zaś aktywne są w tym zakresie historiozoficzne koncepcje rozwoju społecznego. Rozwój myśli następować może natomiast skokowo, z licznymi okresami regresu, przestoju i nieprzewidywalnymi a radykalnymi zwrotami. Stąd poszukiwanie wszelkich prawidłowości napotyka liczne trudności, spośród których niektóre starałam się przedstawić wyżej. Nie ulega jednak wątpliwości przydatność w odnajdywaniu nie tylko tej, lecz i innych analogii i w podejmowaniu prób definiowania i porządkowania systemów myśli politycznej i prawnej w oparciu o wszelkie dostępne kryteria – wszystko to stanowić może nieocenioną pomoc w poruszaniu się w gąszczu owej myśli, a tym samym, w coraz lepszym jej rozumieniu i interpretacji.

## II

Podjęcie tak trudnego tematu, jaki zaproponowała prof. dr hab. Krystyna Chojnicka następczo kontynuatorowi drugiej części zawsze pewne trudności, albowiem możliwe są praktycznie dwie drogi. Pierwsza to polemika z tezami współautorki, druga to próba znalezienia alternatywy dla tychże tez. Ta druga droga wydaje mi się, nie tylko dogodniejsza, ale i bardziej owocna dla tytułowej problematyki.

Całkowicie zgadzam się z potrzebą wychodzenia poza ramy ortodoksyjnego postrzegania teorii i metodologii historii doktryn i nie zamykania ich li tylko w sferze refleksji *stricte* historycznej. Sprzeciwia się temu nie tylko interdyscyplinarny charakter przedmiotu i zadania dydaktyczne jakie się mu stawia, ale sama materia myśli polityczno-prawnej. Poszukiwanie punktów odniesienia poza naukami historyczno-prawnymi, właśnie w gałęziach wiedzy pozornie odległych, jak nauki przyrodnicze czy ściśle jest niejednokrotnie koniecznością wynikającą nie z mody, jaką przyniósł między innymi postmodernizm, lecz po prostu z tematu, jaki pragnie się ogarnąć. Doświadczyłem tego sam w przypadku zajmowania się konfrontacją pomiędzy organicyzmem i mechanicyzmem, czy problemem czasu w historii myśli. Ucieczka poza obszar czysto historyczny

była nie tylko konieczna, ale i ze wszech miar pożądana. Tyle może zamiast obszerniejszego wstępu.

Wybierając ową drugą drogę, próbuję zatem spojrzeć na niektóre kwestie powstawania i ewentualnego rozwoju myśli polityczno-prawnej poprzez pryzmat szerszej rozumianych nauk humanistycznych, jak chociażby historii literatury, sztuk pięknych czy architektury. W moim głębokim przekonaniu – a tu historycy sztuki, literatury czy architektury wyprzedzili nas znacznie – odbijają one jak zwierciadła wszelkie kierunki myśli politycznej i w znacznej mierze prawnej tudzież potrafią czasem nawet intuicyjnie wyzuwać dalsze kierunki ich rozwoju, jeśli koniecznie musimy pozostać przy tym terminie. Najlepszym przykładem tego są np. klasyczna *Mimesis* Ericha Auerbacha, *Społeczna historia sztuki i literatury* Arnolda Hausera, rozliczne rozprawy i studia Erwina Panofsky'go, Ernsta H. Gombrich'a, a na niwie polskiej monumentalna twórczość Jana Białostockiego czy Mieczysława Porębskiego. Z nich niejednokrotnie możemy dowiedzieć się znacznie więcej o rzeczywistym klimacie średniowiecza, zamęcie ideowym XVII wieku, wielu postaciach romantyzmu, czy wreszcie mozaice ideowej wieku dwudziestego. Pokazują one częstokroć dokładniej i lepiej cały obraz danej epoki i zarazem poszczególne kierunki ideowe niż niejednokrotnie wrywkowo i egzemplifikacyjnie pisane, zwłaszcza na zachodzie Europy i w USA, historie idei politycznych czy pozorne syntezы filozofii politycznej, oczywiście nie wszystkie. Operują one może innym językiem, lecz dotyczą tej samej sfery myślenia ludzkiego. Idee świata sztuki czy literatury nie są ani gatunkowo różne, ani genetycznie odmienne od idei politycznych, ani nie dzieli ich źródło, bowiem za każdym razem jest to tylko i aż tylko umysł ludzki.

Można jednak zasadnie postawić pytanie, gdzie jednak leży granica oddzielająca nauki przyrodnicze i ścisłe od humanistyki i dlaczego panuje tu głęboko zakorzenione przekonanie o niemożności swobodnego przekraczania tej granicy. W moim przekonaniu tkwi ona w podstawowym przesłaniu i zarazem celu obu tych podstawowych gałęzi wiedzy. Zwróćmy uwagę na język określający owo przesłanie i cel. Celowo piszę tu o języku, albowiem to, co wydaje się tylko sporem o słowa jest w istocie niemal sednem sprawy. L. Wittgenstein napisał kiedyś, że: „Granice mojego języka wskazują granice mojego świata”. Jeśli więc nie będziemy wieść dyskursu o słowa, w które obleczone są przecież idee polityczno-prawne to wkrótce też nie będziemy go prowadzić na temat o treści tychże idei. W przypadku nauk przyrodniczych i ścisłych, takich właśnie, jak biologia, chemia, fizyka, astronomia pada zawsze stwierdzenie o **odkrywaniu, dokonywaniu odkryć** czy **odkrywcach**. W przypadku osiągnięć literackich, artystycznych, architektonicznych czy wreszcie filozoficznych i polityczno-prawnych język będzie niemal zawsze przynosić słowa o **tworzeniu, procesie twórczym** wreszcie o **twórcach**. Stwierdzenie to brzmiące bardzo banalne rodzi jednak dość istotne konsekwencje. Jaka

relacja istnieje bowiem pomiędzy odkrywaniem i tworzeniem? Na pozór jest to tylko gra słów, w istocie natomiast – znów w moim przekonaniu – przedmiot istotnego, choć czasem iluzorycznego sporu.

Oto pojawia się np. odkrywca nowej gwiazdy, owada, kolejnej cząstki elementarnej, jak np. słynnej „złotej cząsteczki” Higgisa. Najczęściej proces ten składa się z wielu faz przechodzenia od teorii do empirii, jak np. w fizyce, biologii czy astronomii. Powstaje najpierw hipoteza badawcza, potem dowód o wymiarze ściśle teoretycznym uzyskujący już niemal rangę rzeczywistego odkrycia, wreszcie następuje dowód z empirii a hipotetyczny odkrywca po latach otrzymuje np. Nagrodę Nobla, jak np. ostatnio w przypadku odkrywcy „komórek macierzystych” po sześćdziesięciu latach od samego faktu ich odkrycia. Nie wyklucza to oczywiście jednorazowego „ośnienienia” mającego jednak przeważnie charakter hipotetyczny. Dobrze opisuje to J. D. Watson, kiedy pospół z F. Crickiem i R. Franklin stworzyli projekt struktury DNA.

W przypadku twórczości w dziedzinach humanistycznych wygląda to nieco a czasem zgoła odmiennie. Oto powstaje hipotetyczne dzieło np. literackie, muzyczne, malarzkie czy architektoniczne, gdzie proces twórczy i działania autorskie mają przeważnie charakter jednorazowy nawet wtedy, gdy ostateczna realizacja jest rozciągnięta w czasie. Wizja literacka, malarska czy architektoniczna jest aktem twórczym niezależnie od tego, ile lat będzie pisana powieść, jak np. cykle *Komedia ludzka* Balzaka czy *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, malowany obraz, jak chociażby freski Sykstyny, a dzieło architektury będzie realizowane w ciągu kilku lat lub kilkunastu wieków, jak np. katedra w Kolonii. W tym przypadku liczy się ów zamiar twórczy i wizja zrodzona w umyśle autora czy autorów, cała reszta jest już tylko wydatkowaniem pracy na realizację. Częstość czasu i ludzie niszczą całość lub część dzieła i wtedy chcielibyśmy np. wzorem U. Eco poznać księgę Arystotelesa poświęconą komedii. Chcielibyśmy wiedzieć, czy Machiavelli napisał coś więcej, o czym napomykają nieśmiało jego biografowie, czy też nie została zniszczona ważna część dorobku Campanelli. Czasem też dzieło pozostaje nieukończone, lecz artystyczne skończone. Wystarczy zobaczyć *Pietę Rondanini* Michała Anioła lub przypomnieć dość niepewną hipotezę, że *Pan Tadeusz* posiadał jeszcze jedną księgę, którą zniszczył sam autor. Można wreszcie spojrzeć na *Sagrada Familia* w Barcelonie, by mieć świadomość, jak dalece próba jej ukończenia jest chybiona w stosunku do wizji A. Gaudiego. W tym wypadku zresztą mniej interesuje mnie dalszy los dzieła, lecz wyłącznie sam akt czy proces jego tworzenia.

Spór, o którym wspomniałem wcześniej, rodzi się na płaszczyźnie określanej w języku potocznym, jako kontrowersja pomiędzy wiedzą „ściśłą” i popularną „humanistyką”. Jest on o tyle pozorny, że w istocie dochodzi tu do wartościowania roli **odkrycia** i **tworzenia**. Czyli symplifikując w zadawaniu często niezbyt mądrych pytań, co było

ważniejsze dla ludzkości odkrycie teorii względności przez Einsteina czy stworzenie dzieł przez Homera, Dantego czy Kanta. Smutnym w tym sporze jest tylko to, że często-kroć współcześni kapłani „wiedzy tajemnej” nauk ścisłych i humanistycznych izolujący i ignorujący się nawzajem zapominają o wspólnym i jedynym źródle, jakim była dla nich starożytna filozofia konsumująca i scalająca źródła ich wiedzy. I tylko niektórzy z nich, jak przykładowo W. Heisenberg, odczuwali owo *iunctim* pomiędzy np. fizyką i filozofią, wiedząc, że jeśli owa ścisła wiedza oderwie się od pogardzanej humanistyki, to trzeba zrezygnować i z materialistów greckich i ze znacznej części dorobku Leonarda da Vinci, dzieł Galileusza, Kartezjusza, itd. A więc w istocie z tego, co jest źródłem i prapoczątkiem ich badań. Ciekawe jednak jest to, że wielu matematyków, fizyków czy astronomów, nie wspominając o kosmologach, posługuje się jako sprawdzianem dla ich teorii na wskroś humanistycznym kryterium piękna. Jednocześnie pojawiają się w owym dwubiegunowym świecie swoiste paradoksy, gdy np. młodszy pokoleniowo fizyk może stwierdzić, że o ile Einstein nie „stworzyłby” teorii względności, to „odkryłby” ją ktoś inny. Dlatego określiłem ów spór jako pozorny, a w gruncie rzeczy mało poważny, bowiem wiele dyscyplin naukowych poprzez specjalizację rzekomo odległych i posługujących się odmienną metodologią i językiem coraz częściej odczuwa potrzebę syntezy i komplementarności wobec siebie.

Istnieje jednak tło sporu znacznie głębsze i brzemiennie w skutki. Przywołany wcześniej W. Heisenberg, znający nieźle rolę filozofii, stwierdzał jednocześnie z dezynwolturą: „Idee polityczne tylko dlatego mogą mieć niekiedy decydujący wpływ na szerokie masy, że są zgodne lub zdają się być zgodne z ich najbardziej żywotnymi interesami; idee naukowe szerzą się wyłącznie dlatego że są **prawdziwe**”. Wnioskiem logicznym byłoby tu stwierdzenie, że idee polityczne mają niewiele wspólnego z prawdą. Stwierdza to wprawdzie człowiek, który pracował kiedyś nad bombą atomową pod rządami Hitlera, lecz jednocześnie jak gdyby zapominający, że to ideami politycznymi rządzą się często państwa, to one prowadzą wojny, więżą i zabijają ludzi i w końcu tworzą jak najbardziej **prawdziwą rzeczywistość**, w której przychodzi żyć również uczonym odkrywającym ową **prawdę**. Rola ta pojawia się dopiero wtedy, gdy pogardzana myśl polityczna traktowana często jako „nienaukowa”, w praktyce życia politycznego całkowicie potrafi zdominować i podporządkować swym celom ową „naukę prawdziwą”, narzucając jej poprzez chociażby finansowanie badań lub jego brak rozwój w ściśle określonym kierunku. Tak stało się w reżimach totalitarnych i tak dzieje się dziś poprzez wielkie kompleksy militarno-przemysłowe, ponadpaństwowe konglomeraty i korporacje będące odbiciem procesów globalizacyjnych, których naturalnym podłożem jest właśnie rozwój idei może morfologicznie różnych, lecz w istocie rzeczy pochodnych od klasycznej formy doktryny politycznej.

Przeprowadzony wyżej podział wydaje się jednak uproszczeniem poprzez swoją dwubiegunowość, czyli **odkrywanie** vs. **tworzenie**. Jednak „wszelka teoria jest szara”, jak pisał Goethe, a tak naprawdę „zielone drzewo życia” podsuwa nam różne proporcje działań naukowych. Bez pomysłów Galileusza i A. van Leeuwenhoek’a nie powstałyby ani teleskop, ani mikroskop, czyli droga ku przyszłym odkryciom byłaby zamknięta bez twórczego źródła leżącego na jej początku. *Księżę* zapewne nie powstałby w tej postaci, gdyby Machiavelli nie odkrył mechanizmów polityki, obserwując naocznie praktyki Cesare Borgii. Podobnie opat Suger myśliciel i teolog, doradca polityczny króla, ale zarazem znawca sztuki budowlanej gdyby nie docenił siły nośnej ostrołuku i roli przypór w bazylice St. Denis, to nie znalazłby w nich zwornika dla swej idei wysokości i światła wiodących ku Bogu, czyli krótko mówiąc, kościoła gotyckiego. Granica pomiędzy odkrywaniem a tworzeniem nie jest więc tak ostra, jak może się wydawać, choć niewątpliwie istnieje.

W tym miejscu pojawia się, mogące nas interesować, pytanie, jak określić pozycję nauk historycznych, a historii myśli polityczno-prawnej w szczególności. Wiedza historyczna z zakresu tak szeroko rozumianej humanistyki nie może sobie rościć prawa do miana działalności wyłącznie twórczej, bo w istocie ma charakter raczej **odtwórczo-opisowo-interpretacyjny**. Nawet jeśli przyjąć tak skromne stanowisko, to wszystko to nie zmienia faktu, że operując na twórczych poczynaniach innych, historyk doktryn kreuje, a więc tworzy obraz myśli, nurtu czy kierunku patrzenia na refleksję o państwie i prawie. Z natury rzeczy przepuszcza ową hipotetyczną myśl przez filtr swego światopoglądu i zapatrywań politycznych, nadając im w jakiejś mierze twórczy charakter. Podkreślam ten fakt, by wskazać, że dzieła takich uczonych, jak np. I. Berlina czy L. Strauss’a noszą wszelkie cechy działania twórczego i to niemal w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie jest to jednak problematyka związana bezpośrednio z tytułem mojego wystąpienia.

Problem odniesienia pojęć rozwoju czy postępu doktryn polityczno-prawnych do nauk przyrodniczych, jak przedstawiła to Prof. Chojnicka natrafia na rafy nie tylko językowe, ale i trudności wynikające z często nieświadomego, lecz dalszego ich wartościowania. Sądzę, że przechodząc na grunt odniesień, które przyjąłem na wstępie problem wartościowania ulega dalszemu zawikłaniu, zaś relacje pomiędzy rozwojem i postępowaniem stają się jeszcze bardziej skomplikowane i trudne.

Oscar Wilde w *Portrecie Doriana Grey’a* napisał: „Nie ma księzek moralnych lub niemoralnych. Są książki napisane dobrze i źle”. Zdanie to, gdyby przyświecała nam intencja autora, można odnieść do całości dzieł humanistyki, w tym również do rodzenia się i rozwoju myśli polityczno-prawnej. Zdanie to jednak można rozumieć dwojako. W pierwszym rozumieniu chodzi o to, że sam zamysł twórczy był wadliwy lub błędny, zaś wprowadzenie go w życie nie zdołało tego zmienić. W drugim rozumieniu, że nie



należy przykładać miary moralności (w tym wypadku chodziło o tzw. moralność wikto-riańską) do dzieła, które jest nieskazitelne w zamyśle i formie. Czy rzeczywiście odnosi się to do całości twórczości, która znalazła się w orbicie moich zainteresowań?

W pewnych przypadkach można odpowiedzieć jednoznacznie, zwłaszcza gdy idzie o interpretację pierwszą. Malarz portrecista czy pejzażysta, który nie opanował rysunku czy perspektywy, nie stworzy formalnie poprawnego dzieła, tak jak architekt nieznający elementarnych zasad budownictwa nie stworzy dzieła spełniającego wymogi i cele, dla których powstało lub miało powstać. Nie zrodzi się też myśl polityczna w formie przekazu czytelnego dla odbiorcy, jeśli jej autor nie tylko nie opanował sztuki myślenia, ale także logiki wywodu i zborności jej wyrażania, co często zdarza się politykom, choć jak słusznie zauważył (o dziwo), jeden z naszych polityków „nie wszystko, co nam przychodzi do głowy jest myśleniem”.

Jeśli idzie o interpretację drugą, problem staje się znacznie bardziej poważny, jeśli nie fundamentalny. Dotyka bowiem bezpośrednio kwestii odniesienia myśli politycznej do bytów, takich jak państwo, prawo, społeczeństwo czy jednostka, na które oddziałuje lub wobec których zdaje się być całkowicie bezradna. Pojawia się tu właśnie problem prekursorstwa, który trafnie w moim przekonaniu ujęła prof. Chojnicka, zaznaczając kwestię owego „samotnego wilka”, który pojawia się niemal we wszystkich dziedzinach humanistyki, stanowiąc zaczyn nowego myślenia nie tylko w ideach polityczno-prawnych, ale również w sztuce czy literaturze. Takimi „samotnymi wilkami” w malarstwie byli np. Caravaggio, który pozostawił potem tylko naśladowców lub Vermeer, który nie znalazł żadnego następcy. W literaturze granice jej tak daleko przesunął Joyce czy Eliot, że naśladownictwo stało się niemożliwe. W historii doktryn jednak jesteśmy skłonni w sposób nader mechaniczny przyjmować pewne punkty graniczne w postaci narodzin tej czy innej koncepcji, nie zważając na to, że istniała ona w teorii i praktyce polityki od dawna. „Racja stanu” istniała niemal zawsze od momentu, gdy narodziło się państwo, a nie od momentu, kiedy opisał ją Machiavelli a nazwał Della Casa, a potem Botero. Jest to zrozumiałe ze względów dydaktycznych, lecz jednocześnie całkowicie ahistoryczne. Czyli konkludując, doceniamy prekursorów otwierających nowe perspektywy widzenia państwa i prawa, lecz nie przeceniamy ich roli w całości procesów dziejowych. Miał w pełni rację wybitny malarz, pisarz i krytyk Józef Czapski, gdy stwierdził: „Kto pierwszy – to nie jedyne kryterium wartości”.

Tu rodzi się problem następny, który stoi w opozycji do wywodu prof. Chojnickiej, a mianowicie dotyczący dystynkcji pomiędzy „rozwojem” i „postępem”. Otóż, gdy idzie o pojęcie „postępu” to nie mam większych wątpliwości, że poczynając od oświecenia niesie ono za sobą określony sposób jego wartościowania, choć nie przesądzam tu jaki. Odmienne natomiast dostrzegam problem pojęcia „rozwoju”. Według mnie nie jest to

pojęcie całkowicie neutralne, choć zostało wprowadzone do tytułu naszej konferencji. Rozwój zakłada bowiem pewien przyrost o charakterze ilościowym, a często i jakościowym w stosunku do stanu wyjściowego, oraz pewne jego zdecydowane ukierunkowanie. Może mieć charakter negatywny lub pozytywny. W medycynie możemy mówić o rozwoju choroby lub rozwoju procesów zdrowienia. W myśli politycznej doktryna może ulegać w kolejnych swoich mutacjach procesom degradacji lub doskonalenia. W obu jednak przypadkach dochodzi do głosu czynnik wartościujący znacznie bardziej wyraźny w humanistyce niż w naukach przyrodniczych, gdzie po prostu dana hipoteza czy teoria zostanie lub nie zweryfikowana przez empirię. Idea przyjaznej człowiekowi architektury i urbanistyki Le Corbusiera uległa w ramach ustrojów totalitarnych w swej przeważającej większości przemianie w bezładne „blokowiska”, tak jak teoria ewolucji Darwina zamieniła się w „darwinizm społeczny” i rasizm wzmocniony częstokroć przez nacjonalizm. Tak więc trudno jest uniknąć czynnika wartościującego, a zatem warstwy aksjologicznej, jaką za sobą pociąga pojęcie „rozwoju”.

Zgadzam się tezę Przedmówczyni, że istnieje zjawisko przeciwstawne „rozwojowi” w postaci „zwinienia” danej doktryny lub wręcz całego nurtu na skutek braku jakiegokolwiek rezonansu społecznego lub zmiany warunków społeczno-politycznych, czy nawet prawnego zakazu jej upowszechniania, jak w przypadku naszej Konstytucji. Nie oznacza to oczywiście potencjalnej możliwości odrodzenia się w nowej postaci, która jednak jest niemal zawsze inna niż ów „wspólny przodek” – prekursor, który zdołał w przeszłości wyzionąć ducha. Mam jednak dość zasadnicze wątpliwości, co do użycia słowa „kompleksyfikacja” w sensie zwiększenia stopnia złożoności wiodącego do osiągnięcia stopnia pełnej dojrzałości danej myśli czy doktryny politycznej. Stopień złożoności poszczególnych nurtów ideowych czy doktrynalnych istotnie wykazuje tendencje do namnażania się i rozrostu wewnętrznego różnorodnych mutacji. Doświadczyły tego tak trwałe czasowo nurty myślenia politycznego, jak konserwatyzm, liberalizm czy socjalizm. I jest to zjawisko na swój sposób mierzalne, bo wystarczy wziąć do ręki którąkolwiek z syntez czy podręczników historii doktryn, by dostrzec jak owe procesy ilościowe przebiegały i przebiegają nadal. Tu jednak dochodzimy do krytycznego punktu, jakim jest osiągnięcie owego „stadium dojrzałości”, które z natury jest już wartościowane, jako szczyt możliwości procesu kompleksyfikacji. Oczywiście Autorka doskonale rozumie, że ów „szczyt” naprawdę nie podlega takiej ocenie, bowiem przytaczając biblijne *Spiritus flat ubi vult*, pisze: „kierunki rozwoju myśli... przebiegać mogą w nieskończenie wielu i nieskończenie różnych kierunkach”. Nie zmienia to faktu, że tak rozumiany rozwój pozostawać będzie zawsze w sferze ocen, nawet jeśli oceniać będziemy tylko jego kierunki, a taka konieczność istnieć będzie zawsze przynajmniej ze strony

historyków doktryn. Konkludując – sędzę może błędnie, że pojęcie „rozwoju” zawiera nie mniej pułapek od pojęcia „postępu”, tyle że są one nieco innej natury.

Skoro jednak starałem się wskazać na wątpliwości w używaniu tych pojęć to wypada samemu dać jakąś mniej lub bardziej udolną próbę odpowiedzi, jaki termin lub pojęcie uważam za bardziej przystające do problematyki konferencji i dlatego. Dla mnie takim pojęciem jest **zmiana** i przeciwstawne jej **trwanie**. Pojęcia te wydają się bardziej neutralne właśnie w zakresie ich wartościowania, bowiem nie zakładają z góry ani progresji ani przemian ilościowych czy jakościowych, choć oczywiście ich nie wykluczają. „Zmiana” może być postępowaniem i może być też rozwojem, ale nie jest tu niczym zdeterminowana. Oznacza jedynie, że *status quo* uległo jakiemuś bliżej nieokreślonymu naruszeniu, a „trwanie” oznacza tylko brak owego naruszenia stanu istniejącego. Stąd wolę mówić o hipotetycznych „tendencjach zmian” w świecie myśli polityczno-prawnej, aniżeli o „tendencjach rozwoju”.

Hipotetycznie można założyć jakąś cezurę lub cezury czasowe pojawiające się w badaniach lub podręcznikach, np. wiek XX. Przyjmujemy wtedy, że istnieje w ich ramach pewien stan stały polegający na istnieniu określonej liczby idei i doktryn polityczno-prawnych, których dotyczą nasze zainteresowania naukowe i postrzeganych przez nas pod tym właśnie kątem. W stanie tym mamy jednak w istocie swej do czynienia ze zjawiskiem rozproszenia (chaosu), gdzie kierunki myślenia rozbiegają się w niezależny od nas sposób nawet wtedy, gdy przyjmiemy w ramach stosowanej metodologii jakąś zasadę porządkującą. W gruncie rzeczy mamy jednak do czynienia właśnie ze zjawiskiem entropii. Przechodzenie jednego stanu trwałego – oczywiście w danej chwili – w stan drugi, gdzie ów chaos trwa nadal, choć zapewne różny. Jest to proces ciągły i nieprzerwany, stanowiący podobnie jak linearny czas historyczny *continuum*, którego miara rozproszenia (chaosu, nieuporządkowania) nie ulega zmianie. Paradoksem tego trwania i zmiany zarazem jest odpowiedź Heraklita na pytanie zadane w Milecie: „Co jest trwałe, gdy zachodzą zmiany? – Sama zmiana”. Trwanie, tak naprawdę ogranicza się do momentu, w którym coś konstatujemy, a więc w gruncie rzeczy jest tym, czym dla badacza problemu czasu jest terażniejszość, z którą jak wiadomo są największe problemy.

W przykładowo powołanym tu minionym wieku, a więc w czasie stosunkowo nieodległym, daje się zaobserwować zjawisko polegające na kontynuacji i multiplikacji idei i doktryn, które rozwinęły się głównie w wiekach poprzednich. Uwypuklam tę sferę zmian, bowiem nie dotyczy ona, co podkreślam z naciskiem, sfery praktyki życia polityczno-ustrojowego i ruchów politycznych, gdzie narodziny tychże były nader obfite, by przywołać tu tylko rozkwit totalitaryzmów i różnych innych form uprawiania polityki. U schyłku wieku, co jest sprawą kontrowersyjną, mamy do czynienia z terroryzmem

o różnym podłożu, który z punktu widzenia genetycznego, gdy idzie o ideę może tkwić albo w anarchizmie, czyli nie wieku XX lub w fundamentalizmie religijnym, którego misyjna rola została zapisana wiele wieków wcześniej. Nawet zjawisko, które w uogólnionym kształcie S. Huntigton określił jako zderzenie cywilizacyjne, tkwi głęboko swymi korzeniami w wiekach wcześniejszych, a więc przed wiekiem XX. Z tym bagażem weszliśmy w wiek następny.

Moglibyśmy więc założyć, że istnieje pewien stały stan myśli politycznej odziedziczony po wiekach poprzednich, który jedynie poprzez wewnętrzną multiplikację różnych wygenerowanych zeń kierunków i doktryn w istocie swej, a więc dotychczasowej sumie osiągnięć ideowych, nie uległ zmianie. Jeśli bowiem spojrzymy na doktryny prawne, to wydaje się, że nie wychodzą one w sumie poza dwie główne osie myślenia, czyli idee prawno-naturalne i pozytywistyczne. Jednocześnie powstałe na ich gruncie doktryny mogą być bardzo zróżnicowane, o wysokim stopniu subtelności i wyrafinowania. Ocenę taką pogłębia fakt, że w przeciwieństwie do doktryn politycznych ich praktyczna aplikacja wydaje się nader nikła, a przywoływanie ich chociażby w uzasadnieniach różnorodnych orzeczeń bywa raczej akcesoryjne lub mające na celu udowodnienie ewentualnej erudycji orzekających, co jest zjawiskiem rzadkim. Nie oznacza to wcale, że w XX wieku mieliśmy do czynienia wyłącznie z doktrynami politycznymi stanowiącymi prostą kontynuację wątków ideowych zrodzonych wcześniej. Przechodziły one wiele kolejnych zmian i przeobrażeń nim np. wykreowane zostały z nich doktryny i ruchy o charakterze totalitarnym. Oddziaływał tu również problem legitymizacji doktryny czy ruchu poprzez odwołanie się do dawności, tradycji czy autorytetu myślicieli czasów minionych.

Zjawiskiem natomiast nowym, które ujawniało się w pełni u schyłku wieku XX stały się przemiany świadomości społecznej związane z rewolucją elektroniczno-informatyczną połączoną z procesami globalizacyjnymi, tak jak niegdyś na przełomie XVIII i XIX wieku przyczyniła się do tego rewolucja naukowo-techniczna. Myślę tu wyłącznie nie o konkretnych nowych ideach politycznych, być może pozostających jeszcze *in statu nascendi*, lecz o podglebiu, z którego mogą wyrosnąć. Jesteśmy przecież świadkami kruszenia się starych aksjomatów i paradygmatów związanych np. z Bodinowską koncepcją suwerenności, ograniczaniem tradycyjnych funkcji państwa w stosunkach zewnętrznych lub jego bezsilnością wobec oddziaływania Internetu. Są to jednie symptomy lub być może już skutki głębokich zmian, jakie nieustannie zachodzą i z pewnością nie potrafimy do końca przewidzieć, czy trafnie oceniona przez Mc Luhana „globalna wioska”, będzie wioską totalitarną czy demokratyczną. Czy generowany będzie nowy typ doktryny politycznej zrodzonej na tym podglebiu, czy też będzie to tylko kontynuacja dawnych konceptów przybranych w odmienną formę. Podobne zmiany zachodzą

w całości szeroko pojętej humanistyki, gdzie zresztą panuje większa swoboda kształtowania myśli twórczej niż w naukach ścisłych, poddanych presji głównie materialnej w kierunku pożądanym przez decydentów, lecz niekoniecznie i zawsze racjonalnym. Nie bez powodu napisał kiedyś A. F. Whitehead: „Natura jest cierpliwa, jeśli idzie o interpretację, tych praw, które akurat nas interesują”. Dlatego, wierząc w zmianę i trwanie, z ostrożnością odnoszę się do postępu i rozwoju.

